

Dzieckiem będąc



Moje najstarsze wspomnienia.

Nie wiem, ile miałem lat, trzy, może cztery?

Mieszkanie na Powiślu w Warszawie. Mieszkaliśmy u babci, Marii Żaczkowskiej, matki mojej mamy. Duży pokój, w którym spali rodzice i w którym był stół jadalny, z oknami na ulicę, mały pokój nasz, dzieci. Moja siostra Magda jeszcze w wózku z trzcinowej plecionki na dużych kołach. Kuchnia z wnęką dla służącej, kuchnia węglowa z żelazną płytą i fajerkami. Bardzo mnie fascynowały te relingi, drzwiczki, klamki i kafle. W łazience była wanna, ale nie było w kranie ciepłej wody. Wodę do kąpeli trzeba było zagotować w wielkim garze. W rogach obydwu pokoi stały piece kaflowe na węgiel.

Mieszkanie numer 6, na parterze, na Spasowskiego 7A, było, jak na tamte lata, dosyć wygodne. Warszawa po wojnie była bardzo zburzona. Wielu ludzi jeszcze gnieździło się po kilka rodzin w jednym lokalu. Powiśle było lepsze, bo w czasie powstania Niemcy go nie bombardowali, bojąc się zbombardowania własnych pozycji nad Wisłą. Dlatego spory kawałek Powiśla: Spasowskiego, Tamka, Dobra, Solec, były w miarę całe. Ulica Spasowskiego biegła od Tamki równolegle do Wisły i zakręcała prostopadłe wychodząc na Dobrą. Tam, na tym zakręcie, był jedyny niewielki obszar gruzów, przez który można było przejść na Wybrzeże Kościuszkowskie tuż przy Jaracza. Jakies dwa domy od nas, po tej samej stronie ulicy, był sklep spożywczy Markiewiczowej, a tam był dziecięcy cud świata: słoik z cukierkami. No i gazowe latarnie na ulicy. Wieczorem chodził taki pan z tyczką i zapalał latarnie, ale w domach gazu nie było.

Ze Spasowskiego 7A pamiętam do dziś numer telefonu: 6 34 60. Taki krótki? Tak, bo telefonów w ówczesnej Warszawie było bardzo mało. Telefon w domu to był luksus. Był czarny z tarczą. Słuchawka leżała na metalowych widelkach. Aby odebrać połączenie wystarczyło podnieść słuchawkę, a by przerwać, położyć ją z powrotem lub nacisnąć ręką widelki.

Dzisiejsza młodzież w ogóle nie rozpoznaje takiego telefonu. Kilka lat temu, wnuczka Agnieszki spytała:

- Babciu, gdzie jest telefon (bo komórka jej się rozładowała)?

Mieliśmy telefon stylizowany na taki stary, z tarczą, ale numery na tarczy wybierało się już przyciskami, bo telefon, choć wyglądający na stary, był już cyfrowy.

- Stoisz przy telefonie – odparła Agnieszka.

- Gdzie, nie widzę?

Nastoletnia Magda po prostu nie знаła takiego telefonu. Za to komórki znała na wylot.

Innym razem, na ulicy w Giżycku usłyszałem rozmowę matki z kilkuletnią córką:

- Dla czego nie masz telefonu?

- Zapomniałam.

- Jak mogłaś wyjść z domu bez telefonu?

Jak daleko jesteśmy od świata, w którym telefon stacjonarny by luksusem, a telefonów mobilnych nie było wcale.

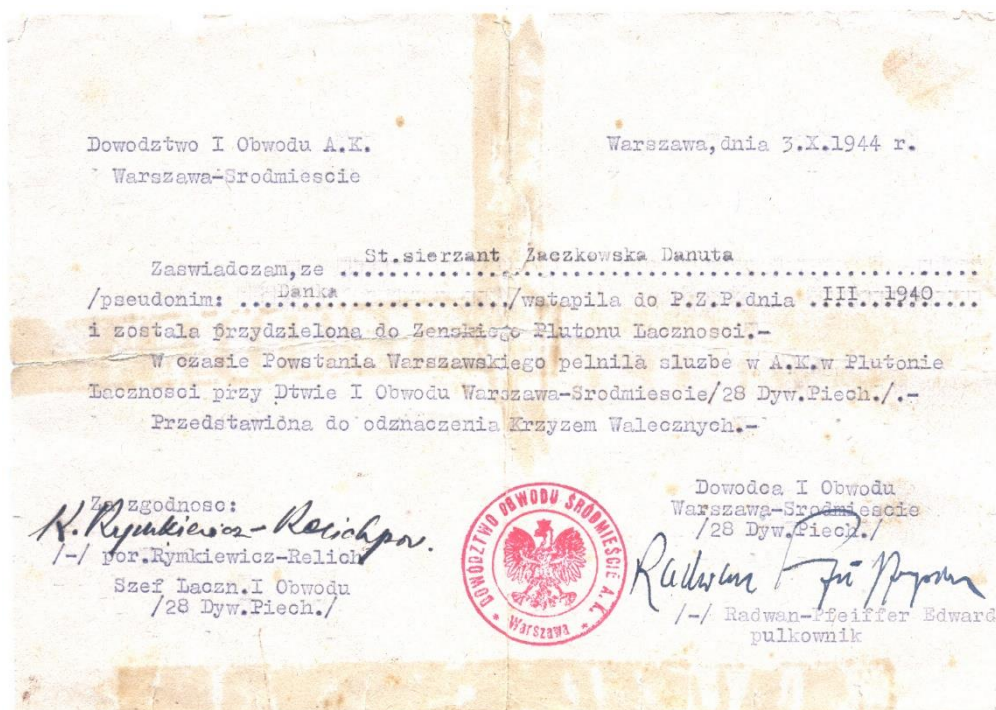


Warszawa 1946. Gruzy getta. Ze zbiorów Muzeum Historycznego Warszawy.

Pamiętam też „pamiętkę” po powstaniu: groby na podwórku. W czasie powstania wszystkie trawniczki były zajęte grobami, ale po wojnie dość szybko je usuwano. Groby w podwórkach przetrwały dłużej.

Po wielu latach, już w okresie działania KOD-u, w Poznaniu, zapytano mnie, czemu Warszawiacy do dziś żyją Powstaniem Warszawskim. Ludzie z Poznania, Łodzi, Szczecina, tego nie czują. A to proste i nie proste. Warszawa przed wojną miała ok. miliona mieszkańców. W powstaniu zginęło 200 tysięcy ludzi, Warszawiaków.

W Warszawskim Getcie zginęło ok. 400 tysięcy Żydów, w dużej części Żydów z Warszawy. W sumie w czasie okupacji i powstania zginęło co najmniej pół miliona Warszawiaków, około połowa ludności miasta. I jeszcze jedno. Dla nas o powstaniu nie trzeba mówić „Warszawskie”. To dla nas oczywiste.



Zaświadczenie wystawione mojej mamie przez płk. „Radwana” tuż przed kapitulacją powstania. Później została awansowana do stopnia podporucznika i odznaczona Krzyżem Walecznych.

Wojna, choć się skończyła, była ciągle obecna w rozmowach wspomnieniach i śladach. Ojciec, Jerzy Łoziński i jego rodzina nie pochodzili z Warszawy, tylko z Częstochowy, ale mama była z Warszawy. Ta warszawska część rodziny w czasie okupacji i powstania przeżyła prawdziwe dramaty. Mama, Danuta Łozińska, jeszcze pod panieńskim nazwiskiem Żaczkowska, pseudonim „Danusia”, była hufcową Szarych Szeregów i podoficerem Armii Krajowej. W czasie powstania była dowódcą centrum łączności pułkownika „Radwana”, najpierw w stopniu starszego sierżanta, na koniec awansowana przez Rząd Londyński do stopnia podporucznika. Jej wojenny narzeczony, Ryszard Sułkowski, zginął rozstrzelany przez żołnierzy SS Dirlwanger w Szpitalu Wolskim. Niemcy zamordowali tam niemal cały personel i wszystkich pacjentów.

Oboje z Ryszardem pracowali jako młodzi lekarze w Szpitalu Wolskim. Przed wybuchem powstania ordynator pytał młody personel: Będiesz jutro, czy idziesz?

Nie trzeba było pytać, dokąd idziesz. Wszyscy wiedzieli, dokąd. Mama opowiedziała „idę”, Ryszard – „zostaję”. Potem przyszło SS Dirlwanger. Ryszard zginął. Moi rodzice poznali się po wojnie.

Pod koniec powstania Niemcy wypędzali ludność Żoliborza przez tereny w pobliżu Dworca Gdańskiego. W kolumnę cywilów uderzył pocisk artyleryjski, prawdopodobnie rosyjski, zza Wisły. Od tego pocisku na miejscu zginął 39-letni Józef Ponikiewski mąż Marii (Marychny, jak się o niej w rodzinie mówiło) najstarszej siostry mojej mamy i jej dwuletni syn Jacek. Drugi syn Marii, dziewięcioletni Sławek, umarł tydzień później w szpitalu. Maria zmarła w szpitalu tydzień po nim. Na miejscu zginęła też babcia mojej mamy i jej siostr (Marii i Sabby) Stefania Kazimierska z domu Batorowicz. W sumie pięć osób. Druga siostra mojej mamy, Sabba, była w czasie powstania ranna.



Sławek i Jacek. Gdy zginęli Sławek miał 9 lat, Jacek 2. Fot. archiwum rodzinne.

Trudno sobie wyobrazić cierpienie Marychny, która umierając ostatnia wiedziała, że wszyscy jej bliscy, mąż, synowie, babka, już nie żyją. Miała tylko 29 lat.

Jeszcze wile lat później słyszałem słowa rodziców: Jacuś miałby teraz 12 lat, a Sławek 19...



Marychna, Maria Ponikiewska. Zginęła mając 29 lat. Fot. Archiwum rodzinne.

Rosjanie pewnie nie strzelali celowo w cywilów tylko w dworzec, ale wiemy, że losem cywilów przejmowali się podobnie jak Niemcy. Losem Polaków ogólnie też. Gdy żołnierze Berlinga robili desant przez Wisłę na Czerniaków, by pomóc powstaniu, sowiecka artyleria strzelała w nich, a nie w Niemców na brzegu Wisły.

Myślę, że po tym wspomnieniu już każdy czytelnik rozumie, dlaczego dla Warszawiaków, mimo upływu lat, tak ważne było powstanie. Podobne dramaty przeżyła tu niemal każda rodzina.

Ale wracajmy na Spasowskiego 7A. W dużym pokoju, w którym odbywała się cała życie rodzinne, stało radio Tesla. Miało kształt sześcianu i z przodu okrągłą tarczę ze wskazówką. Na tej tarczy wypisane miasta: Warszawa, Paryż, Moskwa, Wiedeń... Gałką pokręciłem ustawiało się wskazówkę na właściwym mieście i odbierało się program. Później to małe radio zostało zastąpione wielkim polskim odbiornikiem, który na dole miał skalę, a w górnej części pośrodku „oko magiczne”. To „oko” świeciło i mrugało na zielono, lub niebiesko. Lubilem zaglądać do tego radia od tyłu, bo tam była cała elektroniczna „fabryka”: wielki obrotowy kondensator i lampy, diody i triody.

Podwórka na Spasowskiego były małe i nudne, bo prawie zawsze nikogo na nich nie było. Całe dziecięce życie towarzyskie toczyło się na ulicy i na skwerku między jezdniami Wybrzeża Kościuszkowskiego. Nie było to wcale niebezpieczne, bo ruch samochodowy był niemal żaden. Jeśli coś jeździło, to raczej Dobrą i Solcem po bruku typu kocie łby. Samochodów było z resztą mało i jeździły wolno. Nie miały rozrusznika i odpalano je korbą. Pamiętam też, że miały kierunkowskazy na takich wychylających się jak semafor rączkach z lampką na końcu.

Zacząłem chodzić do przedszkola na Drewnianą. W przedszkolu dawano nam tran, bo panowała istna epidemia krzywicy wynikająca ze złego żywienia. Wszystkie dzieci ustawiały się w kolejce do Pani, która dawała każdemu dziecku łyżkę tranu, oczywiście wszystkim tą samą łyżką, której nawet nikt po poprzedniku nie płukał. To w ramach higieny. Pewnego dnia moja mama jako lekarz pediatra interweniowała w sprawie tej łyżki i od tej pory każde dziecko miało już swoją łyżkę.

Tran był okropny w smaku i wszystkie dzieci chciały się od niego wymigać. Później powstał taki dowcip:

Przychodzi mały chłopczyk do apteki i pyta:

- Czy to pan sprzedaje tran?

- Tak, ja.

- To pan jest świnią!

Poza tranem zmorą przedszkola było leżakowanie. Z kim nie rozmawiam, z mojego pokolenia, to wszyscy fatalnie wspominają leżakowanie. To zrozumiałe. Wyobraźcie sobie, że gromada rozbawionych i rozbrykanych dzieciaków nagle, na sygnał, ma leżakować, to znaczy cicho leżeć przez godzinę i udawać, że śpi. Nikt by tego nie lubił.



Maria Żaczkowska, babcia Benia. Fot. Archiwum rodzinne.

Do przedszkola, a później do pierwszej klasy podstawówki na Dobrej, róg Drewnianej, odprowadzała mnie babcia Benia. Babcia miała naprawdę na imię Maria, ale wszyscy mówili Benia. Dziadek żartował zadając pytanie: Jak ma Benia na imię? Dziadka poznałem niestety dopiero gdy byłem w drugiej klasie, bo siedział w bierutowskim więzieniu, ale to osobny temat, do którego jeszcze wrócę.

Gdy zacząłem chodzić do drugiej klasy, babcia już mnie nie odprowadzała, bo rodzina uznała, że tą niewielką odległość Spasowskiego – Tamka – Dobra mogę przejść sam. Pewnego dnia poprosiłem mamę o kilka złotych, „bo w sklepie filatelistycznym na Świętokrzyskiej są takie znaczki trójkąty” (w międzyczasie zacząłem zbierać znaczki). Rodzina wpadła w panikę, bo zauważyła, że ja z tej prostej drogi do i ze szkoły nieźle zbaczam. Czytelnikom spoza Warszawy wyjaśnię, że zbaczałem o jakieś półtora kilometra do ruchliwego Śródmieścia.



Dziadek, Leonard Wawrzyniec Żaczkowski. płk. „Leonard”. Zdjęcie z lat 60. Fot. Archiwum rodzinne.

Ta droga do szkoły z perspektywy dziecka (rodzice rzadko rozumieją perspektywę dziecka) wcale nie była taka bezpieczna, bo na końcu Spasowskiego, tuż przy Tamce stały Paluchy. Paluchy to była niezła żulia, pięciu braci w różnym wieku, synowie świadków Jehowy, którzy czatowali na okazję, by komuś dokopać, albo zabrać kieszonkowe.

Zupełnie jak w dużo późniejszej piosence:

„Ze szkoły idzie chłopie, gapi się, no to mu dokopiem, niech wie”.

W budynku na rogu Dobrej i Drewnianej mieściły się dwie podstawówki. Jedna nazywała się „na Dobrej” a druga „na Drewnianej”, choć obie były w tym samym miejscu. Korytarze, po których biegało się na przerwach były wspólne.

W szkole byliśmy ubrani w granatowe fartuszki, chyba z satyny (nie znam się na materiałach) z białymi kołnierzykami. Dziewczynki miały do tego spódniczki, a chłopcy spodnie. Mieliśmy tekturowe tornistry i worki na kapcie. Na lewym ramieniu przyszytą niebieską tarczę szkolną z numerem 27 (numer szkoły). W klasie stały drewniane ławki z pochyłymi blatami i otworami na kałamarz. Pisało się atramentem w zeszycie stalówką na drewnianej obsadce.



Ja w szkole podstawowej. Fot. Archiwum rodzinne.

Gdy byłem w drugiej lub trzeciej klasie pojawiły się pierwsze długopisy nazywane „piórami kulkowymi”. Zabraniano nam ich używać, bo ponoć deformowały pismo i wykoślawiały ręce. Szkoła zresztą zwalczała nowoczesność jak mogła. Pamiętam koszmarną awanturę, gdy w trzeciej czy czwartej klasie jedna z dziewczynek przyszła do szkoły w czerwonych pończochach.



Magda, moja siostra jako dziecko. Rok zrobienia zdjęcia nieznany. Fot. Archiwum rodzinne.

Tu troszeczkę przeskoczę w czasie. Gdy miałem jakieś 12 lat odwiedził nas kolega ojca mieszkający w USA Ryszard Mor, Żyd, którego ojciec z kolegami z Częstochowy ukrywał podczas niemieckiej okupacji. Podarował mnie i Magdzie wieczne pióra, które były śliczne. Przez obudowę z przezroczystego kolorowego plastiku widać było cały mechanizm wiecznego pióra, zbiorniczek z atramentem, tłoczek itd. Moje pióro było zielone, a Magdy pomarańczowe. Moje pióro było tak śliczne, że je starannie schowałem, by nie zginęło. Szukałem go później całe lata. Znalazłem, gdy byłem już dorosły i wieczne pióro nie było już żadną atrakcją. To się nazywa dobrze schować.

Ale wracamy do podstawówki. Po kilku latach szkoła została przeniesiona na ulicę Karową, później dodano do niej liceum, a podstawówkę zlikwidowano metodą nie rekrutowania do niej kolejnych klas. I w ten oto sposób powstało Liceum

Ogólnokształcące nr. 27 im. Tadeusza Czackiego, czyli „Twenty Seven Bloody Czacki School”, jak je później nazywali uczniowie. Ale to osobny temat, do którego powrócę.

Gdy miałem 12 lat i chodziłem do szóstej klasy przeprowadziliśmy się na ulicę Miodową nr 20. Mieszkanie na pierwszym piętrze, duże, prawie 100 metrów kwadratowych, wysokie na 3,30 metra. Trzy pokoje i kuchnia. Na Miodowej było już duże (aż za duże) podwórko, z trzepakiem, piaskownicą i boiskiem do gry w piłkę. Boisko należało do dwóch szkół: Szkoły Muzycznej i Technikum Techniki Teatralnej, z którymi dzieliliśmy podwórko, a właściwie otwartą przestrzeń między budynkami przy Miodowej i przy Podwału. Znaczną część tego podwórka stanowiły najbardziej zabawowe obszary, czyli gruzys (a było już 15 lat po wojnie). No i była tu spora gromada dzieciaków z okolicznych domów.

Gry i zabawy dziecka polskiego

Gdy rozmawiam z dzisiejszą młodzieżą, często spotykam się z uwagami, że nasze życie, bez Internetu, telewizji, telefonów komórkowych i nawet video, musiało być strasznie nudne. Ależ skąd! Nasze życie było ciekawe, tylko zupełnie inne.

Co robiliśmy, jakie były nasze zabawy? Zaczniemy od gier zbiorowych. Gra w piłkę nożną była oczywista, ale dotyczyła niemal wyłącznie chłopaków. Kobiecej piłki jeszcze nie wymyślono, choć zdarzało się, że grały z nami nieliczne dziewczyny. Graliśmy jeszcze w siatkówkę, często bez siatki, np. przez trzepak. Ale to wszystko sport.

Podstawą zabawą była gra w chowanego i w podchody, no i w berka. Do gier zespołowych trzeba było zebrać grupę kilkorga dzieci. A robiło to się tak: układało się lewą dłoń „w budkę” i wołało:

- Kto się bawi palec pod budkę, bo za minutkę zamykam budkę!

Następnie trzeba było wybrać pierwszego kryjącego za pomocą wyliczanki. Wyliczanek było kilka, ale dwie podstawowe.

Dziewczyńska:

- Trąpf, trąpf, Misia Bela, Misia Kasia komfacela, Misia A, Misia Be, Misia Kasia kom-fa-ce!

Albo chłopacka:

- Ene due, rike fake, torba borba, ósme smake, eus dus, kosmateus i morele baks!

Nawiasem mówiąc do dziś nie wiem co to jest „komfacela” albo „kosmateus”, nie mówiąc już o „trapf” albo „rike fake”.

Wybrany za pomocą wyliczanki pierwszy kryjący odwracał się twarzą do ściany, lub do drzewa i udawał, że nie patrzy, a pozostali starali się gdzieś schować. Kryjący liczył do dziesięciu i mówił wierszyk:

- Palka zapalka dwa kije, kto się nie schował ten kryje!

Czasami dodając:

- Kto złapany, ten zaklepany! Szukam!!!

Kryjący zaczynał szukać, a schowani czatowali na moment, by puścić się biegiem i wcześniej od kryjącego dopaść jego kryjówki i krzyknąć: Wygrałem! (albo: zaklepane!).

Z wyliczanką spotkałem się później także w dorosłym życiu, gdy mój nie żyjący już kolega taternik (niezły taternik) Sławek Andrzejewski pseudonim „Demezon” miał wyliczankę do wbijania haków (z każdym przecinkiem uderzenie młotka):

- Ojciec Migdał, Migdał, Migdał, dał mi w migdał, żebyś krzyk dał, i ja będę, taki, sam, kogo dorwę, te, mu, dam!

I hak był wbity, Oczywiście to były żarty, co zaznaczam, bo w tym środowisku jest spora grupa ludzi bez poczucia humoru i z dużymi gruczołami jadowymi.

Wyliczanki służyły też do wielu innych celów. Była też i taka:

*- Siedzi baba
na cmentarzu,
trzyma nogi
w kałamarzu,
przyszedeł duch,
babę w brzuch,
baba fik,
a duch znikł.*

Było to używane jako wyliczanka albo dziecięcy wierszyk bez sensu. Wierszyków bez sensu było więcej. Na przykład taki:

*Weź muchi w paluchi
i połóż na blachi,
a będą wybuchi*

aż po same dachi!

No to przejdźmy do gier w podgrupach. Podstawowa to gra w cymbergaja. Na blacie stolika robiło się na końcach po dwie kreski oznaczające bramki. Dwie większe monety zastępowały piłkarzy, a mniejsza piłkę. Piłkarzy przesuwano się za pomocą prztyknięć grzebieniami. Była to właściwie symulacja gry w piłkę nożną. Szkoła straszne cymbergaja zwalczała, do dziś nie wiem, dlaczego.

Wśród dziewczynek najpopularniejsza by gra w klasy, a wśród chłopców w pikuty. W pikuty grało się nożem i generalnie chodził o jego wbijanie w ziemię w dość wymyślny sposób. Najprościej po prostu rzucało się nożem z ręki trzymając go za ostrze, ale później z przyłożenia ostrza noża do brody, nosa lub czoła, z obrotem, z dwoma obrotami itd. Nożem też grało się w państwa. Najpierw rysowało się na ziemi wielki kwadrat, a później rzucało się nożem w ziemię, tak, by się wbił. Później trzeba było, nie przekręcając noża, zaznaczyć nim jak największe terytorium, oczywiście nie wstając i nie ruszając się z miejsca. To było moje państwo. Inni koledzy zaznaczali swoje państwa. W drugiej rundzie można było ukłęknać w swoim państwie, wbić znowu nóż i zaznaczyć kolejną część terytorium. Można było przy tym zająć część terytorium konkurenta. Wygrywał ten, który ostatecznie zajął całą powierzchnię kwadratu.



Hacele do podków końskich i do gry w ciupę. Fot. Archiwum Allegro.

Kolejną grą była gra w ciupę. W ciupę grało się hacelami, takimi wkrętami do końskich podków, których dolny koniec był wykuty w kształt litery H. Hacele

zasadniczo służyły do tego, by konie nie ślizgały się po oblodzonej jezdni. Gra polegała na tym, że podrzucało się jeden z haceli i zazwyczaj upadł zgarniało jak najwięcej haceli kolegów. Wygrywał ten, kto na końcu miał ich najwięcej lub nawet wszystkie.

Popularna była gra w zośkę. Zośka to był kłębek wełny obciążony w środku ołowianym ciężarkiem. Te ciężarki brało się z kiełbasy. Kielbasa sprzedawana w państwowych sklepach była z dwóch stron plombowana (by ktoś sobie nieco nie uciął) taką ołowianą plombą i ta plomba służyła za ciężarek do zośki. Zośkę podbijało się nogami, jak najczęściej razy, ale nie wolno było dotknąć jej ręką. Powiem ciekawostkę, że do dziś jest to bardzo popularna gra w Chinach (skąd pochodzi) i nawet odbywają się w tej grze zawody.

Biegaliśmy też za kółkiem, co szkoła z niezrozumiałych powodów potępiała. Gdy nauczycielka chciała powiedzieć, że ten chłopiec to jest z szemranej rodziny, mówiła: On biega za kółkiem. A to była zupełnie niewinna zabawa. Za pomocą zgiętego pogrzebacza albo wygiętego drutu, toczyliśmy przed sobą kółko. Najlepiej dużą fajerkę albo kółko od roweru bez opony. Oczywiście fajerka toczona po bruku robiła spory hałas i to mogło komuś przeszkadzać, ale nie tak, jak dziś disco polo z otwartych okien sąsiada.

Na podwórku miejscem zbiórki dzieciaków był trzepak, który sam w sobie był gimnastyczną atrakcją. Na dolnym poziomie trzepaka się siedziało, a na górnym robiło wymyki. Ponieważ dziewczynki, które bardziej okupowały trzepak niż chłopaki, nie chodziły w spodniach tylko w spódniczkach lub sukienkach, na trzepaku za sprawą wymyków odbywała się wystawa majtek, co na dobrą sprawę nikomu nie przeszkadzało. Zasadniczo trzepak służył do trzepania dywanów z kurzu, ale częściej służył do wymyków nazywanych fikołkami.

Były jeszcze gry towarzyskie w domu, w których brali udział także rodzice, a dwie podstawowe: w pchełki i w bierki. Z grą w pchełki mam związane pewne wspomnienie. Do mojej mamy, lekarza pediatry, zadzwoniła kiedyś zdenerwowana pacjentka:

- *Pani doktor, dziecko zjadło matkę, co mu będzie?*

- *Dziecku nic, ale co z matką?* – odparła mama myśląc, że to żart.

Szybko okazało się jednak, że sprawa jest poważna, bo dziecko połknęło dużą pchełkę potocznie nazywaną matką (plastikowy krążek o średnicy ok. 3 cm). Skończyło się w szpitalu interwencją chirurgiczną.



Moja mama, Danuta Łozińska, w fartuchy lekarskim. Fot. archiwum rodzinne.

Tych wszystkich gier i zabaw było dużo więcej, ale nie sposób pisać encyklopedii. Wspomnę jeszcze dwie gry późniejsze, już na etapie liceum: w Wyścig Pokoju i w parapetówkę. W Wyścig Pokoju grało się kapslami obciążonymi plasteliną. Każdy miał swój kapsel-zawodnika. Pstrykało się w te kapsle grzebieniami i to był prawdziwy wyścig do mety. W parapetówce kładło się monetę na krawędzi parapetu i pstryknięciem palca wyrzucało się ją tak, by nakryć inną monetę. Gdy nie trafiłem, moja moneta zostawała na parapecie i powiększała pulę.

Uzupełnieniem tego były normalne gry w warcaby i w szachy. Ale gdy chodziło się do nieco starszej klasy, osobliwym zjawiskiem było czytanie książek przy latarce, pod kołdrą. Bo my proszę młodzieży dzisiejszej czytaliśmy książki. Książki to był nasz zaczarowany świat, świat wielkiej wyobraźni, podróży, przygód. Ponieważ rodzice wieczorem pilnowali, byśmy poszli spać i gasili światło, czytaliśmy dalej pod kołdrą. To czytanie książek niektórym z nas do dziś zostało, tacy jesteśmy dziwni, my dziś stare dziadki pokolenia młodości w latach pięćdziesiątych.

Pewien młody człowiek spytał mnie niedawno: O co chodzi z tymi żołnierzami? Było to nawiązanie do satyrycznego wierszyka o Kaczyńskim

Jarosławie, który w stanie wojennym nic nie robił, tylko siedział u mamy w szafie.
Jest tam fraza:

*On w szafie siedział, bibułę czytał,
na generała zębami zgrzytał.*

...

*Ćwiczył strategię i zwierzał szyki.
Mama zabrała mu żołnierzyki.*



Ołowiane żołnierzyki. Fot. Archiwum Allegro.

No właśnie żołnierzyki. Młody człowiek nie zna ołowianych żołnierzyków, a to była najlepsza chłopacka zabawa dzieciństwa. Ołowiane żołnierzyki, z których ustawialiśmy całe armie i toczyliśmy bitwy na podłodze. Była piechota, kawaleria, husaria, nawet Indianie w pióropuszech... Żołnierzyki były z ołowiu, ale malowaliśmy je farbkami, trochę z pomocą rodziców. Każdy z nas miał całą kolekcję żołnierzyków.

Tak więc nasze życie wcale nie było nudne i myślę, że bardziej aktywne i twórcze niż bezmyślne tkwienie godzinami przed telewizorem, oglądanie reklam i seriali głupszych niż ustawa przewiduje, albo nieustanne prycianie w smartfonie z hierarchią: Wiola jest lepsza od Marioli, bo Wiola prycia w iphonie, a Mariola w smartfonie.

Oczywiście teraz smartfony lub iphony kupuje tata na komunię, a ostatnio tata na komunię kupuje kłada, albo komputer. Za moich czasów na komunię nie kupowało się dziecku nic (ja zresztą na komunii nie byłem, bo już się buntowałem), była natomiast prześmiewcza śpiewka:

*Tata kupi mi auto,
Nie Fita nie BMW.
Tata kupi mi grata,
Mikrusa lub DKW.*

Ale w tamtych czasach nawet „dekawka” był luksusem. Dla większości Warszawiaków środkiem lokomocji były buty lub tramwaj.

Tu mała dygresja do czasów dzisiejszych.

Muszę jeszcze wspomnieć o jednej dziecięcej zabawie, która paradoksalnie przydała mi się niedawno. Była to gra w pomidora. Uczestnik gry musiał na wszystkie pytania odpowiadać „pomidor”, a inni próbowali go rozśmieszyć, zdekoncentrować lub sprowokować do powiedzenia czego innego. Gdy niedawno jako już stary człowiek po siedemdziesiątce zacząłem dostawać natarczywe telefony od handlowców próbujących mi wcisnąć zaproszenie na pokaz garnków lub zakup czegoś, co wcale nie było mi potrzebne, zacząłem odpowiadać „pomidor”. Najpierw napuszczali kolegów, by zadzwonili i sprawdzili, czy powiem „pomidor”, ale później pojawiła się sztuczna inteligencja albo jej brak. I było coraz weselej.

Dzwoni do mnie maszyna, czyli sztuczna inteligencja, a ja mówię „pomidor”.

- *Przepraszam, nie dosłyszałem albo źle zrozumiałem – mówi maszyna.*

- *Pomidor – ja na to.*

- *Przepraszam, nie dosłyszałem albo źle zrozumiałem.*

- *Pomidor.*

I tak kilka razy.

Po pewnym czasie ktoś maszynę nauczył.

- *Pomidor – mówię.*

- *Proszę nie mówić pomidor, bo to niegrzecznie.*

- *Ogórek – mówię.*

- *Przepraszam, nie dosłyszałem albo źle zrozumiałem – maszyna*
- *Ogórek.*
- *Przepraszam, nie dosłyszałem albo źle zrozumiałem.*
I tak zabawa trwa dalej.

Ale ja zacząłem mieć nowe pomysły. Rodzina słysząc te rozmowy pękała ze śmiechu. Zacząłem mówić:

- *Pomyłka, tu w ogóle nie ma telefonu.*

Aż zadzwoniła jakaś pani wyjątkowo natrętna. Nie dawała się zbyć. W końcu wpadłem na pomysł:

- *Przepraszam, ale jak pani do mnie dzwoni?*
- *Jak to jak? Normalnie.*
- *Ale ja nie mam telefonu.*
- *To jak ja do pana dzwonię?*
- *Nie wiem, to pani dzwoni a ja nie mam telefonu.*
- *To do czego ja się dodzwoniłam?*
- *Do tabletu.*
- *A z jakiej sieci ten tablet?*
- *Biedronka.*
- *Jak to?*
- *Normalnie, byłem w Biedronce, kupiłem tablet, a pani zadzwoniła.*

Dopiero teraz zrozumiała, że ciągle gram w pomidora. Tak więc gry z dzieciństwa czasem się i później przydają.

Ale wracamy do starych lat.

Jeszcze w podstawówce zostałem skutecznie wyleczony z religii. Rodzice zapisali mnie na lekcje religii przy kościele na Tamce. Pewnego dnia zadałem księdzu pytanie wynikające z niezrozumienia i ciekawości dziecka:

- *Proszę księdza, ksiądz mówi, że jest Bóg Ojciec, Syn Boży i Duch Święty. To kto to jest „bozia”?*

Pytanie wynikało z tego, że ksiądz kazał nam modlić się do „bozi”, a „bozi” w tym spisie nie było. W rezultacie dostałem od księdza dziesięć uderzeń drewnianą linijką po łapach. Tak się skończyła moja wiara w „bożię” i do dziś tak zostało. Dobrze, że nie spytałem kto to jest Baranek Boży, bo oberwałby jeszcze bardziej.

Na koniec wspomnienia mieszkania na Spasowskiego muszę opisać ciekawy incydent. Tak się składało, że niemal cała rodzina podczas wojny i okupacji była zaangażowana w niepodległościową konspirację. Ta konspiracja, podziemny PPS i Armia Krajowa, bardzo nie podobały się przywiezionej z Moskwy nowej władzy.

Dziadek Leonard, Żaczkowski, płk. „Leonard”, a za razem członek zarządu krajowego podziemnego PPS siedział w więzieniu. Oboje rodzice jako AK-owcy byli ciągle dręczeni jakimiś represjami. Władza chyba podejrzewała, że coś knują, bo ciągle zdarzały się jakieś dziwne incydenty. Na przykład co jakiś czas, jakiś dziwny pan stał na klatce schodowej pod naszymi drzwiami i „czytał gazetę” (prawie po ciemku). Albo odbywały się dziwne przeszukania. Przyszli UB-cy i zażądali od mamy wskazania, które szuflady biurka są dziadka, a które jej. Po tym zajrzeli do „szuflad dziadka” i poszli. Dziś wiem, że nie była to prawdziwa inwigilacja, bo nikt jej tak nie robi, tylko nękanie, utrzymywanie poczucia ciągłego zagrożenia. No i (jak ja to znam) ciągle wypowiadanie pracy, przez co rodzice pracowali co raz to gdzie indziej.

W tej atmosferze wydarzył się przedziwny incydent. Pewnego dnia do drzwi zapukało dwóch panów, ale wcale nie wyglądających na „smutnych i cichych”. Powiedzieli wprost:

- Panie Jerzy, pani Danuto, wiemy kim jesteście.

Mama zrobiła wielkie oczy, a oni na to:

- Pani porucznik „Danusiu”, my tu mamy coś chowanego, tu w dużym pokoju.

Rodzice zrobili jeszcze większe oczy, a oni sprawnie otworzyli skrytkę w podłodze i wyjęli z niej kilka dużych paczek.

- Archiwum sądów podziemnych – wyjaśnił cicho jeden z nich – Panie Jerzy, przecież pan wie coś o tym.

Ojciec nie odezwał się ani słowem.

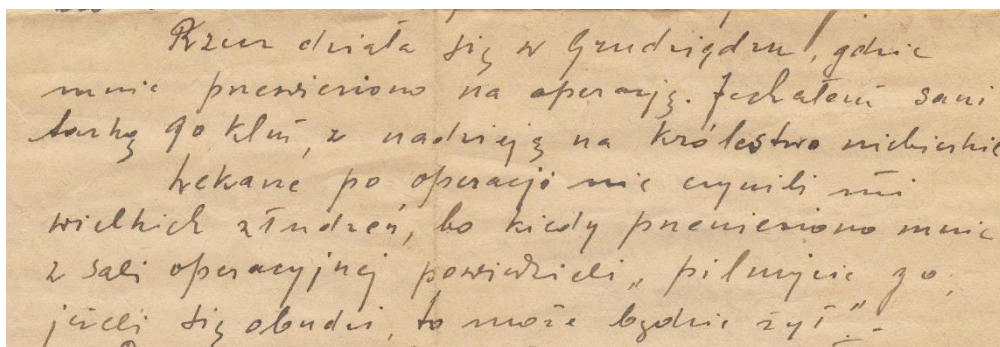
To mgliste wspomnienie z dzieciństwa przez wiele lat było dla mnie niezrozumiałe. Dopiero gdy, już jako mocno dorosły człowiek, przypadkowo, szukając w zasobach IPN materiałów o mnie, natknąłem się na ślad mojego ojca. Nie dziwię się, że nic nie mówił o tym, co robił podczas okupacji. Wykonywał wyroki sądów państwa podziemnego na esesmanach, szmalcownikach, kolaborantach. Ja też bym takiej roboty nie wspominał (strzelanie z bliska komuś w głowę). Większość jego znajomych i nawet rodzina, była przekonana, że nic nie robił, bo ojciec po prostu nic nie mówił.

Miodowa 20

Gdy miałem dwanaście lat, czyli w 1958 roku, przeprowadziliśmy się na ulicę Miodową na Starym Mieście. Jak to się stało?

Mój dziadek, Leonard Wawrzyniec Żaczkowski, od 1948 roku (jeszcze przed moim urodzeniem) siedział w stalinowskim więzieniu pod absurdalnymi zarzutami: „na Placu Teatralnym strzelał do komunistów” i „smarował szyny dla niemieckich

transportów jadących na front wschodni”. Był skazany na 9 lat więzienia (prokurator domagał się trzech kar śmierci). Oczywiście nie o to chodziło, tylko o to, że był pułkownikiem Armii Krajowej i dowódcą jednej formacji policyjnych powstania warszawskiego.



Przez dzień się w Gendyrdem, gdzie
mnie przeniesiono na operację. Fachatani sami
dali go kłm, z nadzieją na królestwo miłosierdzia
lekarskie po operacji nie czuli mi
wielkich trudów, bo kiedy przeniesiono mnie
z sali operacyjnej powiedzieli, pilnujcie go,
jeżeli się obudzi, to może będzie żył”.

Fragment listu dziadka Żaczkowskiego do siostry napisanego tuż przed zwolnieniem z więzienia, w którym opisuje, jak potraktowano go w więziennym szpitalu po operacji. Lekarze powiedzieli do strażników: „Pilnujcie go, bo jak się obudzi, to może będzie żył”. Archiwum rodzinne.

W 1956 roku, po gomułkowskiej odwilży, został z więzienia zwolniony i początkowo mieszkał z nami. To tak naprawdę było jego i babci Beni mieszkanie. W jakiś nie jasny dla mnie sposób, może jako rekompensatę za więzienie, dostał niewielkie mieszkanie na Polnej. Później, w 1960 roku, rodzina dokonała zamiany dwóch mieszkań, na Spasowskiego i na Polnej, na jedno większe na Miodowej. Wcześniej w 1959 roku, zmarła babcia Benia i dziadek został sam. Przez jakiś czas mieszkał jeszcze z nami na Miodowej, ale nie był z tego specjalnie zadowolony. Później ożenił się po raz drugi panią Wandą i wyprowadził się do niej. Moja mam nigdy nie zaakceptowała tego związku, a przecież było to dla niego najlepsze, co mogło być. Cóż na początku lat 60-tych obyczaje i emocje nie były takie jak teraz.

Mieszkanie na Miodowej, w porównaniu ze Spasowskiego, było piękne. Prawie sto metrów kwadratowych, wysokość pokoi 3,30 metra. Tę wysokość wymuszała elewacja, która musiała odtwarzać, a właściwie udawać, przedwojenny dom Wedla, zabytek. W rzeczywistości wewnątrz domu było zupełnie inne niż przed wojną. Ten zabytek zbudowano na początku lat 50. od nowa, starając się zachować z „zabytku” tylko elewację od strony ulicy. Mieszkanie na pierwszym piętrze miało trzy duże pokoje i kuchnię. Największy pokój, 32 metry kwadratowe, łączył się z drugim dużym pokojem szerokimi składanymi z trzech części drzwiami. W sumie po otwarciu tych drzwi uzyskiwało się wielką przestrzeń prawie 50 metrów.

W mieszkaniu początkowo były jeszcze piece, ale kuchnia już była gazowa, a w łazience wodę podgrzewał piecyk gazowy Junkers. Jak na tamte czasy to był niemal luksus.

Dla mnie jako dwunastolatka największą radochą było podwórko. Ogromne, bo nie odgródzone od podwórek sąsiednich domów, boiska dwóch szkół (Muzycznej i Technikum Techniki Teatralnej) oraz sporego obszaru gruzów między Miodową i Podwalem. Dla nas dzieciaków najciekawsze były właśnie gruzy, z których wykopywało się skarby i w którzy budowało się różne kryjówki, nazywane przez nas „bunkrami”.

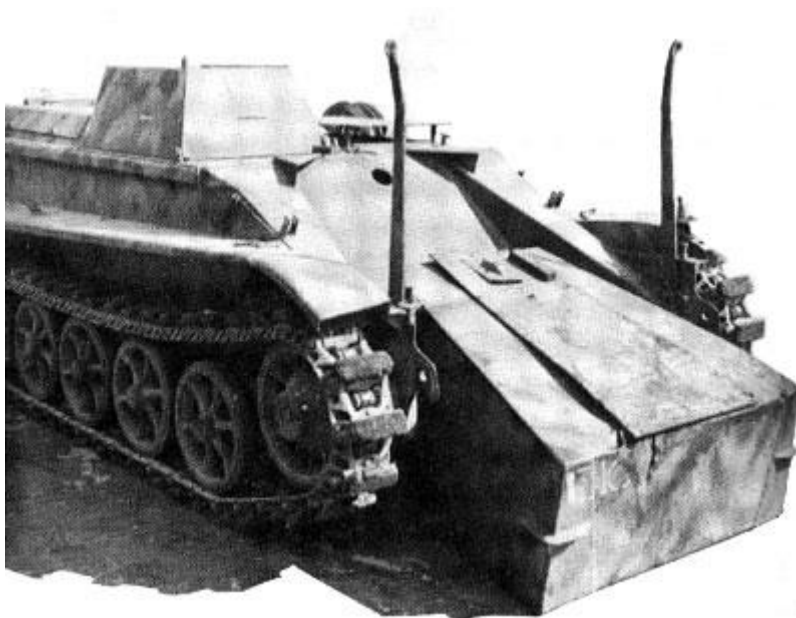
Skarby to była wykopywana z gruzów po powstaniu broń. Broń oczywiście zardzewiała i niesprawną, najczęściej też niekompletną. Każdy chłopak miał jakiegoś „gnata”, który służył do zabawy i był skarbem. Ja nawet mając kilkanaście lat zamieniłem z którymś z kolegów całkiem dobry aparat fotograficzny Alfa na zardzewiałą i niesprawną rewolwer Nagan. Do dziś nie wiem po co. Moi rodzice byli pod wpływem przeżytej wojny całkowitymi pacyfistami. Po prostu wojna była dla nich bytem realnym i strasznym, a nie abstrakcją z wyobrażeń filmowych. Moja fascynacja bronią bardzo ich martwiła i dbali o to, bym nie miał militarnych zabawek. W końcu jednak doszli do wniosku, że ich pacyfizm działa na mnie odwrotnie i kupili mi Colta zabawkę na kapiszony.

Oczywiście ciągle bawiliśmy się w wojnę. Ci, którzy nie mieli żadnej broni, choćby kapiszonowej, biegali z kawałkiem patyka i wołali: ta, ta, ta... symulując strzały z broni maszynowej. Chyba musieliśmy po prostu przerobić ten temat, bo o ile wiem, nikt z nas militarystą wżyciu dorosłym nie został.

Interującym obiektem naszych zabaw był pusty, mocno uszkodzony, budynek przy Kilińskiego. Część jego była całkiem zburzona, ale została jedna klatka schodowa i trzy piętra pustych mieszkań. Z tym budynkiem wiązała się legenda „czołgu pułapki”, którego eksplozja miała jego część zawalić. Legenda z powstania głosiła, że Niemcy porzucili czołg, który powstańcy zdobyli i wprowadzili za barykady na Podwale. Gdy zebrali się wokół niego ludzie, czołg eksplodował zabijając ponad 300 osób.

Ta legenda zawiera część prawdy, bo rzeczywiście 13 sierpnia 1944 roku na skutek eksplozji, na styku ulic Kilińskiego i Podwala, zginęło bardzo wielu ludzi. Po latach historycy ustalili, co to było. Pojazd opancerzony, który zdobyli powstańcy nie był czołgiem. Był to opancerzony stawiacz min Sd.Kfz. 301 Borgward IV. Był to nieuzbrojony transporter obsługiwany przez dwóch żołnierzy, który miał podjechać pod barykadę i wyrzucić z pojemnika na przodzie potężną minę. Mina miała

wybuchnąć po kilku minutach. Ponieważ coś się zacięło, mina nie wypadła, gdzie trzeba i załoga uciekła.



Stawiacz min Sd.Kfz. 301 Borgward IV. Skrzynia z przodu zawierała potężną minę, która nieopatrnie uruchomili powstańcy.



Zniszczony wybuchem stawiacz min, którego mina eksplodowała na skrzyżowaniu ulic Podwale i Kilińskiego.

Wśród powstańców i ludności Starówki zapanował entuzjazm: zdobyliśmy czołg! Nikt jakoś nie zwrócił uwagi, że jakiś dziwny ten „czołg”. Mały, nie uzbrojony nawet w karabin maszynowy, bez wieży. Ludzie z zachwytem przeprowadzali „czołg” z polskim sztandarem po całej Starówce. W końcu na noc zaparkowano go znowu przy zbiegu Podwala i Kilińskiego. Rano znów zaczęto przy nim majstrować i nagle otworzyła się kłapa z przodu. Wypadła z niej „jakaś skrzynia”. Ludzie nieświadomi tego, że jest to mina, w której właśnie uruchomił się zapalnik czasowy, próbowali rękami umieścić ją na miejscu.

Wtedy nastąpiła eksplozja potężnego ładunku. Zginęło ponad trzysta osób i zawaliła się część elewacji budynku przy Kilińskiego. Tego budynku, w którym później bawiliśmy się my, dzieci z Miodowej i Powala, nieświadome tego, skąd się ta ruina wzięła. Legenda „czołgu pułapki” żyła długo. Została nawet zapisana na tablicy pamiątkowej przy Kilińskiego.

Ten budynek nie był jedynym śladem wojny z mojego dzieciństwa. Wojna skończyła się dawno, ale jej ślady ciągle były blisko, tuż obok. W czasie powstania w Kościele Garnizonowym na Długiej był powstańczy szpital. Po kapitulacji Starówki zostali w nim ranni i pielęgniarzy. Wpadli oprawcy z SS RONA. Zgwałcili i zamordowali pielęgniarzy, a później zamordowali wszystkich rannych. W fundamencie kościoła była dziura, przez którą dzieci dostawały się do podziemi kościoła. Te dzieci, z mojego i młodszego pokolenia, wnosili z tych podziemi ludzkie czaszki. Przynoszono je nawet do szkoły. To była typowa dla dzieci bezmyślność. Tak samo jak fascynacja niewypałami.

Wróćmy jeszcze do tej zbrodni. Powstańcy i cywile błędnie nazywali oprychów z SS RONA „Ukraińcami”. Tym czasem byli to Rosjanie. Nazwa RONA to skrót od *Ruskaja Oswoboźdiennaja Narodnaja Armia* (*Rosyjska Armia Narodowo Wyzwoleńcza*). Była to zbieranina najgorszej sowieckiej szumowiny. Dowódcą był Polak, Bronisław Kamiński. SS RONA najpierw brała udział w masakrze ludności Ochoty. Później, już po powstaniu, została całkowicie rozbita przez partyzantów AK w bitwie pod Truskawiem. Kamińskiego rozstrzelali Niemcy.

Byliśmy po trosze dziećmi wojny, której już nie było. Jednym z jej skutków był fascynacja niewypałami. Niewypały znajdowaliśmy wszędzie, w gruzach, a w okresie już licealnym, na bunkrach w Czosnowie, gdzie jeździliśmy się wspinać. To jakiś cud, że przy szczeniackim rozbrajaniu niewypałów nikt z nas się nie zabił. Sam pamiętam, jak piłowałem granat moździerzowy na pół, piłką do metalu, bo koniecznie chciałem wyjąć z niego trotyl. Na jaką cholere był mi ten trotyl do dziś nie wiem. Dlatego dziś wiem, że nastolatek może robić najgorsze głupoty i wcale nie musi być złym człowiekiem.



Specjalny klucz do strzelania. Fot. Archiwum Allegro

Fascynowała, nas chłopaków, nie tylko broń i niewypały. Także wszelkiego rodzaju huki i wybuchy. Zaczęło się od strzelania z klucza na Wielkanoc. Ówczesne klucze były dosyć duże, a ich trzon był rurką otwartą z jednego końca. W tę rurkę upychało się „siarkę” z zapalek i zatykało gwoździem. Klucz uwiązywało się na sznurku i waliło tym gwoździem w ścianę, powodując wybuch „siarki” i spory huk. Istniał też specjalny klucz do strzelania, który naprawdę nie był kluczem, bo niczego nie otwierał (na zdjęciu). Drugim patentem była puszką po kawie Marago (lub po czymś innym), w której dnie robiło się dziurkę. Następnie wkładało się kawałek karbidu i zalewało wodą. Gdy zamknęliśmy wieczko, z karbidu wydzieliał się acetylen. Wystarczyło do dziurki przyłożyć zapalnik, by wieczko wyleciało z głośnym hukiem. Oczywiście była rywalizacja kto odpali większą puszkę, więcej karbidu i zrobi większy huk.

Później, w szkole, która była już na Karowej, nastała moda na kopcie. Robiliśmy mieszankę saletry chilijskiej (azotanu sodu), cukru pudru i sproszkowanej siarki (o ile miało się siarkę, bo nie była niezbędna). Taka mieszanka paląc się wydzielala ogromne ilości białego dymu. Tak naprawdę był to zmutowany proch dymny, w którym cukier zastępował węgiel (cukier zawiera sporo węgla).

Podkładaliśmy te kopcie w różnych miejscach, bawiąc się w ten sposób w kotka i myszkę z nauczycielami, którzy bardzo chcieli nas złapać. Uzupełnieniem tego arsenału były całkowicie legalne pistolety na kapiszony i korki (takie wybuchające korki).

Po latach jedna pani powiedziała: Ty chyba w szkole byłeś grzecznym dzieckiem. Co? Ja grzecznym dzieckiem? Szanowna Pani, ja byłem łobuziakiem.

Łowicz

Dziadek Antoni Łoziński i babcia Bronisława Łozińska mieszkali w Łowiczu. Skąd się wzięli w Łowiczu nie wiem, bo dziadek pochodził z Częstochowy. Przed wojną i podczas wojny był tam dyrektorem Społem. Wiem, że po wkroczeniu wojsk sowieckich miał kłopoty, Odmówił wydania żywności z magazynów Społem sowietom, bo ludność polska nie miałaby co jeść. Ale czy to było powodem wyprowadzki do Łowicza?



Dziadek Antoni Łoziński. Na odwrocie zdjęcia zapisano „15 sierpnia”, ale zapomniano dodać którego roku. Fot. Archiwum rodzinne.

Babcia Bronia (dziadek żartował, że często wołał „do broni”, bo babcia była Bronia) pochodziła z Kolbuszowej, gdzie płynęła rzeczka Nil. Dziadek żartował, że płynęła, gdy nie przechodziły kaczki, bo jak przechodziły to ten Nil zadeptały. Mawiał też, że szlachta z Kolbuszowej tak samo orała, tylko w rękawiczkach.

W Łowiczu mieszkali w kamienicy przy rynku na pierwszym piętrze w mieszkaniu po kimś niewątpliwie bogatym, bo mieszkanie było ogromne. Zajmowali tylko jego część, bo w innej części mieszkała inna rodzina. W budynku nie było wody i kanalizacji. Kibelek był w podwórku, a dziadek nosił wodę ze studni w nosidle. To urządzenie miało różne nazwy w różnych częściach Polski. Nazywało się też koromysło. Według Wikipedii: *drewniany przyrząd do noszenia ciężarów*,

najczęściej wiader z wodą. Ma kształt pałkowatej belki z wycięciem na szyję zakładanej na ramiona. Inne spotykane nazwy: jarzemka, kluki, sądy, kule, szelki, pedy (Podlasie), szuńdy (Wielkopolska). Dziadek dźwigał w tym dwa wiadra z wodą na pierwsze piętro. Ponieważ kibelek był w podwórku, w nocy załatwiała się rzecz do nocnika, który miał swoją przegródkę w szafce koło łóżka. Te szafki przyłóżkowe z Łowicza stoją do dziś w moim domu w Cybulkach, tylko nocniczków w nich nie ma.

To był ślad zupełnie innych czasów, które w Warszawie już zanikały, ale na prowincji nadal istniały. Rynek i główne ulice Łowicza były wybrukowane kocimi łbami, a w Warszawie już niemal wszędzie był asfalt. Na rynku w Łowiczu nadal dominowały furmanki, a nie samochody.



Koromysło. Fot Archiwum Allegro.

W mieszkaniu dziadków były wspaniałe meble gdańskie. Gdy później przeprowadziliśmy ich do nas, do Warszawy, większość tych mebli musiała zostać. Oddaliśmy je do muzeum w Łowiczu. Przyczyna była prosta. Choć nasze mieszkanie na Miodowej było wysokie, 3,30 metra, to za niskie dla kredensu gdańskiego, który miał 3,50 metra wysokości. Co gorsza niektóre meble były nierozbieralne, np. okrągły stół o średnicy ponad trzy metry, który nie dawał się włożyć do naszego mieszkania żadnym otworem. Aby go wnieść, trzeba by rozkuwać ściany i to nawet na klatce schodowej. Po prostu to były meble robione na zamówienie do konkretnego lokalu, które stolarz montował już we wnętrzu i nikt nich planowało ich przeprowadzki. To wszystko było przedziwną mieszanką – koromysło, nocniki i gdańskie meble, piękne choć stare.

Do dziadków jeździliśmy w niedzielę pociągiem przez Skierniewice lub Sochaczew. W tym pociągu była atrakcja – wagon restauracyjny. Dla nas dzieci, był to wspaniały świat wagonu restauracyjnego i widoków za oknem. Skąd mieliśmy na

to czas na tak krótkiej trasie? Po prostu wówczas pociągi jeździły dużo wolniej, zatrzymując się na każdej stacyjce.



Zdjęcie, które zrobiłem jako dziecko na rynku w Łowiczu. Małe domki, furmanki, napis na szyldzie „Radio Tesla”. Fot. Krzysztof Łoziński (lat 10).

Dziadek i babcia mieszkali przez jakiś czas u nas na Miodowej. Później przenieśli się do domu opieki Społem w Wycześniaku pod Skierniewicami. To był bardzo porządny dom. Mieli duży pokój, oboje razem, na parterze z wyjściem do ogrodu. To naprawdę nie przypominało domów opieki, jakie widywałem później, takich więzień dla starych (miech siedzą w swoich pokojach i nie wyłażą, bo przeszkadzają personelowi).

Dziecko wśród geniuszy

Powiem rzecz, która może szokować. Nie ma nic gorszego dla dziecka niż wychowywać się w środowisku intelektualnej i artystycznej elity. W takim środowisku mały człowiek, a nawet młody dorosły, czuje się maleńki, jak muszelka i to muszelka niezbyt ładna. Po prostu nie pasuje do środowiska geniuszy i sław. W czasie domowych przyjęć zanego grona odbywała się licytacja, czyje dzieci są bardziej genialne. A ja czułem się przy tym jak nic nie wartą pyłkę. Gdy byłem już młodym dorosłym, po studiach, słyszałem peany na cześć czyjegoś syna, który pracuje przy komputerze kierującym wszystkimi światłami na skrzyżowaniach

w Nowym Jorku. Ja uważałem, że nie ma głupszej roboty, a gdy to mówiłem byłem zbiorowo piorunowany wzrokiem.



Mama z prof. Małgorzatą Serini Bulską (przy pracy naukowej). Fot. Archiwum rodzinne.

Moja mam była już profesorem medycyny, ojciec Ali, mojej ciotecznej siostry, był profesorem matematyki, a ja cóż? Świeży absolwent uniwersytetu. Moja mama, na pytanie o moje wykształcenia mawiała:

- Skończył jakieś kursa i fika koziołki,

„Kursa” to była Matematyka i Fizyka na Uniwersytecie Warszawskim, a „koziołki” to czarny pas w kung fu. Mama miała w ogóle cięty język i nie zdawała sobie sprawy z tego, że nas dzieci może to boleć. Mama mówiła również, że jestem „trynknięty”.

Magda, moja siostra, określała nasze wychowanie, w którym raczej nie okazywało się uczuć, jako „zimny wychów cieląt”.

Jak wyglądało to środowisko najlepiej oddaje fragment z książki „Czas przeszły” mojej mamy opisujący pierwsze lata po wojnie:

„Marian Bogusz, malarz po obozie, Oświęcimiu. Studiuje w Akademii Sztuk Pięknych. Tam gromadzi się środowisko artystyczne, ale nie tylko. Jest jakiś dziwny pułkownik w mundurze, ma samochód z szoferem. Ale to młody chłopak – skąd taka ranga? To szczęściarz. Dwa razy zaliczyli go do zabitych i go awansowali, to czterokrotny awans. W wojsku pomyłek nie ma, więc musi tak być. To Zbyszek Dłubak. Maluje, fotografuje i uwodzi, kogo się da. Jest i inny oficer z Armii Berlinga - Janek Zelnik z żoną Haliną. Dostali na Syberii dobrze w kość, ale o tym się jeszcze nie mówi. Przy teatrze Wojska Polskiego na placu Zwycięstwa otwarto Klub Młodych Artystów i Naukowców. Tam działa właśnie Janek Zelnik, a gromadzi się środowisko niespokojnej młodzieży.”



Mój ojciec, Jerzy Łoziński wkrótce po wojnie. Fot. Archiwum rodzinne.

To było zaraz po wojnie. Później w naszym domu bywali profesorowie medycyny Tadeusz Orłowski i Małgorzata Serini Bulska, lekarze Róża i Jan Walcowie, malarze Jacek Sienicki i Alfred Lenica. Bywał też prof. Władysław Bartoszewski. Ojciec był architektem, ale udzielał się też w Klubie Krzywego Koła i redakcji „Po Prostu”.

Cóż ja, najpierw dzieciak, a później prosty astrofizyk i matematyk zaraz po studiach – no szczeniak i już. Nie regulowałem świateł w Nowym Jorku.

Mama była niewątpliwie postacią wybitną. Zajęła się zagadnieniem konfliktu serologicznego u noworodków. Opracowała metodę jego leczenia, a był to wówczas

poważny problem medyczny. Zaczęła jako pierwsza w Polsce i jedna z pierwszych na świecie robić transfuzje wewnątrzmaciczne. Transfuzje krwi dziecku w brzuchu matki. Pod rentgenem, bo USG jeszcze nie wynaleziono. Założyła pierwszy w Polsce ośrodek leczenia konfliktu serologicznego u noworodków.



Portret Jerzego Łozińskiego. Rys. Marian Bogusz. Pamiętam, jak powstawał ten portret. Ktoś zażartował, że Bogusz jako malarz abstrakcjonista pewnie tak maluje, bo nie umie rysować. Marian wziął blok i w kilka minut narysował portret mojego ojca. Oryginał wisi oprawiony mnie na ścianie.

W jej naukowej pracy medycznej moje „jakieś kursa” kiedyś się jednak przydały. Na zjazdach naukowych medyków pojawił się pewien doktor S. Lekarze czuli, że to szarlatan, ale nie umieli go na tym złapać. Doktor S. wysnuł teorię „stałej K” która miała regulować wszelkie procesy serologiczne. Jego wykłady tonęły w terminologii biochemicznej i matematycznej, wobec której lekarze byli bezradni.

Mama dała mi do skonsultowania jego pracę. Przyznam, że takich bzdur aż do czasu zespołu Macierewicza nie widziałem. Otóż „stała K” miała być zdefiniowana wzorem:

$$K = \frac{\text{Albumina} \times \text{Bilirubina}}{(\text{Albumina}) \times (\text{Bilirubina})} \quad x - \text{oznacza mnożenie (przypis K.Ł.)}$$

Ja od razu powiedziałem, że $K = 1$, bo w liczniku i w mianowniku ułamka jest to samo, a nawiasy niczego nie zmieniają.

Dalej był zwrot: „przy zmienności stałej K”. Ja na to, że stała się nie zmienia. Jak się zmienia, to nie jest stałą, tylko zmienną. A że „ $K = 1$ ” się zmienia, to już kompletna bzdura. I tak dalej. W rozumowaniu chemicznym też były brednie. Mnożenie i dzielenie przez siebie związków chemicznych, to absurd kosmiczny. Ale ja byłem tylko młodym absolwentem matematyki i fizyki, więc żaden autorytet. Mama poprosiła o oficjalną konsultację doktora biochemii, a on napisał to samo, co ja mówiłem. Jego ekspertyza była dla doktora S. miażdżąca. W ten sposób moje „jakieś kursa” jednak się przyszyły.

Cięty język mojej mamy był przedmiotem wielu anegdot. W latach 50. władza wprowadziła kursy marksizmu dla lekarzy. Jeden z takich lektorów tłumaczył zgromadzonym na sali lekarzom, że nieba i piekła nie ma. Mama na to:

- *A ja wierzę w piekło.*
- *Ależ pani doktor, jak pani wyobraża sobie piekło?*
- *Siedzę na krześle w pustym pokoju bez okien i czytam „Krótki kurs historii WKPB”.*

„Krótki kurs historii WKPB” (Wielkiej Komunistycznej Partii Bolszewików) był wówczas obowiązkowy na wszelkich studiach (także doktoranckich). Były też pytania kontrolne. Na przykład:

- *Jaki był koniec Wrangla?*

Odpowiedź prawidłowa: *„Taki był koniec Wrangla”.*

Do zbioru anegdot przeszła też taka sytuacja. Mama siedziała w prezydium jakiegoś zjazdu naukowego, mikrofon był włączony. Podszedł do niej jeden z lekarzy i mówi:

- *Pani profesor, mam do pani taki mały interes.*

- *Panie doktorze, tego akurat nie leczę.*

Całe to artystyczno-naukowe środowisko znajomych moich rodziców i oni sami, było niezwykle twórcze, tak że mimo dołującego oparu genialności sporo im zawdzięczam. Ojciec był architektem, ale architektem twórczym, nie rzemieślnikiem. Razem z Marianem Boguszem i innymi im podobnymi pasjonatami tworzyli grupę wizjonerów. Projektowali koncepcje miast przyszłości, choć nikt u nich takich projektów nie zamawiał. Opracowali na przykład kompleksowy projekt Muzeum Sztuki Nowoczesnej na Zalewie Zegrzyńskim. Muzeum miało być na pływającej platformie i przykryte przezroczystą pneumatyczną kopułą. Ojciec pracowicie robił model tej kopuły spawając paski przezroczystej folii za pomocą lokówki do włosów mojej mamy. Oczywiście tego projektu nikt nie zamawiał i nikt nie zamierzał go realizować. Ja to rozumiem. Sam piszę książki, których nikt nie zamawiał. Było to jednak docenione w środowisku, bo kilka lat temu odbyła się w Muzeum Narodowym i w Zachęcie wystawa tego projektu, którego wszyscy autorzy już nie żyli.



Elewacja Narodowego Banku Polskiego zaprojektowana przez Jerzego Łozińskiego, Mirosława Duchnowskiego i Eugeniusza Karwatkę.

Najbardziej znanym projektem mojego ojca była elewacja Banku Narodowego od strony Placu Powstańców. Ściśle projekt opracował zespół w składzie: Jerzy Łoziński, architekt, Eugeniusz Karwatka, konstruktor lotniczy i Mirosław Duchowski, plastyk, profesor. z Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie. Projekt był jak na tamte czasy, początek lat 70., niezwykle nowatorski. Elewację wykonano z ciemno brązowych (wbrew obiegowemu pogładowi, nie czarnych) blach wyprodukowanych przez firmę lotniczą Hunter Douglas z Holandii. Niestety nie wszystko z tego projektu zostało zrealizowane. W luce między dwoma częściami elewacji miała wisieć złota rzeźba zaprojektowane przez prof. Duchnowskiego. Nie

wykonano jej. Nie zrealizowano też szerszej wizji zagospodarowania Placu Powstańców: parkingu podziemnego (budują go dopiero teraz) i pomnika Powstania Warszawskiego.



Bohomazy Adama Glapińskiego na tej elewacji.



Makieta niezrealizowanej części projektu – pomnika powstania warszawskiego. Makiety zrobił Jerzy Łoziński, mój ojciec. W tle siedzi Magda, moje siostra. Pomnik miał być z granitowych płyt. Fot. Krzysztof Łoziński.

Ja się niemal wychowywałem w cieniu tego projektu. W moim pokoju na Miodowej stały fragmenty blach z tej elewacji, robiłem zdjęcia makiety projektowanego pomnika powstania. Po latach sprawa tego projektu niespodziewania odżyła za sprawą PiS-owskiego prezesa NBP Adama Glapińskiego, na którego zlecenie zaczęto na elewacji banku naklejać polityczne reklamy, bzdurne i szpetne. Napisałem o tym krytycznie na Facebooku, a dziennikarz Gazety Wyborczej napisał o tym artykuł. Elewacja ta jest nie tylko zabytkiem wpisanym do rejestru, ale nawet uczy się o tym projekcie studentów architektury. Napisałem, że poczynania Glapińskiego są naruszeniem praw autorskich mojego ojca. Liczyłem na współpracę w tej sprawie spadkobierców pozostałych autorów, ale spadkobiercy prof. Duchnowskiego zamiast pomóc, to się obrazili. Trudno, na muchy w nosie nic nie poradzę. Ja prof. Duchnowskiego pamiętam, bo był wówczas w naszym domu. Pamiętam go jako miłego sympatycznego człowieka i tej obrazy nie rozumiem.



Marian Bogusz podczas wakacji w Zakopanem, na Małym Żywczańskim. Fot. (nastoletni) Krzysztof Łoziński.

Inicjatorem większości twórczych projektów był malarz abstrakcjonista Marian Bogusz. On również uczył mnie malarstwa, od którego później odszedłem na rzecz fotografii. Bogusz organizował biennale form przestrzennych w Elblągu i następne w Duńskim Aalborgu. Inicjował akcje odmalowywania elewacji całych miasteczek. Polegało to na tym, że każdy z malarzy dostawał do pomalowania elewację jednej kamienicy w rynku i w ten sposób rynek małego miasteczka zamieniał się w dzieło sztuki.

Ja wychowywałem się w cieniu takich ludzi, których bogate osobowości po części ukształtowały osobowość moją. Profesorowie Orłowski i Bulska, oraz Bogusław Szymański, narciarz i taternik, który spędził całą okupację ukrywając się w Tatrach, zarazili mnie też górami i wspinaniem, ale to już temat na następną opowieść.

.....

Jakie było moje dzieciństwo? Na pewno nie było nudne.